KU

wydał i wydrukował

HIERONIM DERDOWSKI.



WINONA, MINN. 1890 r.

WALEK NA JARMARKU

napisał

wydał i wydrukował

HIERONIM DERDOWSKI.

WINONA, MINN. 1890 r.

Zamiast przedmowy

Gorzkie żale czeladnika krawieckiego.

Pewien czeladnik krawieckiego fachu, Co nie miał nigdzie chroniącego dachu, Rzucił na plecy swój tłumoczek lekki I poszedł szczęścia szukać w świat daleki.

Ale to szczęście nie każdemu sprzyja A poczciwego najczęściej omija, Więc i nasz krawiec po długiem tułaniu Powrócił zimą w latowem ubraniu.

Znajomy majster wziął go do warsztatu, Czeladź się jemu cieszyła jak bratu. A kiedy tępe znów dzierżył nożyce, Pytają, jakie zwiedził okolice?

Oj zwiedziłem ja różne wsie i miasta, Lecz wszędzie bieda, jak u nas, i basta, A jaki nędzny wiódłem byt tułaczy, Ten tu mój zaczek niech wam wytłómaczy.

Gdym z pełnym workiem stanał w Petersburku, Występowałem w porządnym tużurku, Ale gdy długo nie było roboty, Wnet sie zaczęły pieniężne kłopoty.

Za Polska wzieła mnie tesknota silna, Lecz ledwie miałem na bilet do Wilna, A gdy przybyłem nad Wisłę do Pragi, Znikły z kieszeni rosyjskie bumagi.

Kiedy po moście ku Warszawie biegę, Spotykam z Księstwa znanego kolegę, Co od tygodnia miał u żyda pracę I właśnie pierwsza tego dnia wział płacę.

Ten mnie się pyta, czemu mi tak smutno, A gdy powiadam, że w kieszeni płótno, Radzi mi, bym mu ostatnią sukmane Za jego kusy za-

czek dał w zamianę.

— Nie chcę ja, rzecze, abyś był skrzywdzony, Ponieważ zaczek trochę podniszczony, Byś miał pieniądze na pierwszy początek, Przydam dwa ruble, cały mój majątek.

Wyjdziesz ty nieźle na tym interesie, Bo jak podanie na Kujawach niesie, Zdobił on Walka, forysia od koni, Którego sława dzisiaj głośno dzwoni.

Lecz mimo tego wielkiego rozgłosu, Był biedny zaczek na igraszce losu, Bo go znalazłem pomiędzy zagony Na odstraszanie wróbli zawieszony.

Nie zachęcałać taka zaczka chwała, Lecz jako ciężka bieda przyciskała, Dałem sukmanę, on mi zaś dwa ruble I swoje sławne straszydło na wróble.

Pocieszałem się, że w tak wielkiem mieście Znajdę przytułek i pracę na-

reszcie. Ale nie znałem kochanej Warszawy: Wszystkich przeraził nabytek dziurawy.

Zaraz mnie ludzie wzięli na języki A o mym zaczku pisały dzienniki, Że jak w Warszawie bruk pozakładano, Coś podobnego jeszcze nie widziano.

Wziąłem się spiesznie do reparatury, U Prószyńskiego załatałem dziury, A wtedy mi go ku pamięci wiecznej Wymalowali w Gazecie Świątecznej.

Sam się przeląkłem tego malowidła, W końcu do reszty Warszawa mi zbrzydła, Myślałem, że już powaryowali, Więc też w mym zaczku wędrowałem dalej.

Różne ja potem przechodziłem dole, Nieraz łotrzyki wywiedli mnie w pole, Dobrze mój zaczek sobie przypomina Śmieszne przygody gdym wracał z Cieszyna.

W Krakowie świeże przybywały łaty, Przez ramię na mnie patrzały magnaty, We Lwowie, gdziem się przespał w chorym domu, Austryackiego nabrałem rozumu.

O mych kolejach lepiej niż papiery Świadczą przypięte na zaczku ordery: Tę łatę czarną zrobił Niemiec z Łodzi, Ta zaś zielona z Rusi gdzieś pochodzi.

Te tu na dole białe i czerwone W brudnych warszawskich kątach znalezione, A ta największa koloru żółtego To wielki order pana Potockiego.

Więc rozwiązaną macie łamigłówkę! Już ja nie pójdę więcej na wędrówkę, A zaczek schowam dla biednego dziadka. Niechże go po wsiach dodrze do ostatka.

Kiedy w nim wstąpi do życzliwych ludzi, I śmiech i litość w niejednym pobudzi, A gdy pamiątką całkiem się rozleci, Może z papierni

kupią ją poeci.

Toruń, na św. Filip, właśnie gdy stróż drugi raz gwizdnął.

1. Walek się oporządza.

Walek myto odebrał, więc do miasta spieszy, W drodze brząka pieniędzmi i w duchu się cieszy, Jak zadziwi się matka, kiedy on z jarmarku Wróci suto przybrany, jak włódarz z folwarku.

Skoro przybył do miasta, wstąpił do oberży, Pokrzepił się miętówką, potem na targ bieży. Wszędzie hałas i krzyki, że mu głowa pęka. Tyle luda, jak wojska, lecz on się nie lęka, Ramionami przed tasze drogę sobie prości I kupuje cygaro pięć cali długości, Kołacz z sześciu bułkami chowa do kieszeni I ztąd swoją osobę już wysoko ceni.

Obstępują go żydzi: — Czego to pan szuka? Walek żydów odpycha:

Idźtaż do kaduka! Jeszcze czas na sprawunki, teraz nie mam chęci, Bo mi się jakoś zdziebłko pod czupryną kręci. Prosto poszedł na rynek i na karuseli Jeździ, wcale nie zsiada, srodze się weseli; Gdy mu się już porządnie zawraca pod czubkiem, Idzie znowu do karczmy pokrzepić się kubkiem.

Naraz przyszła Walkowi taka do łba duma, Że z chłopami pić nie chce, z panami się kuma. Poczęstował miętówką krawca w tymże czasie: — Niech jegomość poradzi, boć pan na tem zna się! Chciałbym kupić na święta sukmanę i spodnie, Ale żeby tak tanio, przy tem trochę modnie.

Krawiec głowę zadziera, ramionami wstrząsa I długiemi palcami kręci sobie wąsa. Zmierzył Walka oczyma od głowy do stopy: — Co, sukmanę? zawołał, toć to tylko chłopy Noszą takie kamzele aż po same pięty.

Waspan musi mieć zaczek, w połach krótko cięty! Spojrzyj tylko pan na mnie, jak to zgrabnie leży, Trzeba, mówię, i panu po modzie odzieży. Jać bom tylko rzemieślnik, mniećby uszło prędzej, Ale panu, co tyle zarabia pieniędzy, Którego matka chowa krowę i dwie świnie, A że mądrze ma w głowie widać już po minie, Chodzić jak w rewerendzie, zmiatać połą błoto — Uważ pan, jak też można! O ludzka głupoto! Widzi pan, taki zaczek, taka bagatela; Zaraz pana wystrychnie na obywatela. Jak cię widzą, tak piszą, powiada przysłowie, Czy pan nie ma postawy jak wszyscy panowie? Przecież ciało i dusza u każdego równa, Ubiór tylko nas różni, to dzisiaj rzecz główna. Trzeba się panu ubrać cokolwieczek króciej, To w tej chwili w możnego pana się obróci. Niechno pan idzie prędko do mego warsztatu, Sprzedam ja panu zaczek tanio, jak brat

bratu. Rzekłszy. Walka pod ramię ze sobą prowadzi. Kusy daje mu zaczek i kupić go radzi.

Uśmiecha się parobek, strój go kole w oczy, Więc zezuwa sukmanę i zaczek obłóczy. Staje tedy przed lustrem i robi przysiudy, Cóż, kiedy na pół tylko zaczek przykrył udy. Choć brzuch ściąga, nie może wcale spiąć się w pasie — Pewnie to taka moda teraz jest na czasie.

Krawiec kląska językiem: — Ach, jak pięknie leży! Pan wygląda jak hrabia, niech mi pan uwierzy! Kładzie palec na czoło, ujmuje się w boki, Naraz prędko od Walka odskoczył trzy kroki: — Cacy chłopak! — powiada — to mi szyk mospanie, Przecież tak wiele ładniej, niż w chłopskiej sukmanie!

Potem szafę otwiera, spodnie z kółka ściąga I do kupna raz drugi parobka naciąga. — Tutaj, widzi pan, nowe fajn są pantalony, Bukskin w

nich, jak w Paryżu bywa dziś noszony. Towar to wytrzymały a nie bardzo drogi. Niechno pan raczy usiąść, wciągnąć je na nogi!

Walek, aby uniknąć próżnego mozołu, Najprzód spodnie przymierza od pasa do dołu; Że są wiele za krótkie, widzi już na oko. Przecież jeszcze nogawki rozciąga szeroko, Jako wiatrak swe długie rozszerza ramiona, Chcąc niby wszystkie wiatry przygarnąć do łona, Albo jako stodolne rozmykają wrota, Kiedy z pola nadjeżdża żniwiarzy robota. Brodą środek do piersi przyciska i ciągnie, Ale darmo, potrzebnej miary nie osięgnie. — Jać się — rzecze — przy kupnie namyślać nie lubię, Lecz tak mierząc na sążeń jakoś miarę gubię. — Ha, to już taka moda, kryć je trza w cholewach, Im są krótsze, tem mniej je pan zaszlapie w chlewach. Dzisiaj już nawet dzieci niejednego pana Noszą pantolo

niki ledwie po kolana, Ale tym z pod nich nóżki wyłażą bocianie, A tu wszystko cholewy zakryją, mosanie! Chłopak już wtedy siada na podaną ławkę i próbuje kropówki przepchnąć przez nogawkę. — Ach, co pan też wyrabia, toć, trzeba inaczej, Niech pan najprzód ze siebie stare ściągnąć raczy! Walek w ziemię spogląda: — Proszę jegomości, Kiedy bardzo się wstydzę w pańskiej obecności. — A, rozumiem, nie szkodzi! Więc odwrócę oczy, Albo niech pan na chwilę do komórki skoczy. Chłopak skryty w komórce coraz głośno stęknie: — Och!... Zobaczy jegomość, że jeszcze co pęknie! Takie juchy wąziutkie... co to trzeba męki! No, nareszcie i weszły... obie, Bogu dzięki.

Niechno patrzy jegomość, jak to niewygodnie. — To nic, — krawiec odpowie — bo tak dzisiaj modnie, — A tu w pasie wej zapiąć nie mo-

gę tej spinki! — No, to czem się obwiąże, masz pan kawał linki! Widzi pan, jak pasuje, choć nie brałem miary, Obuć bóty i w tłumok związać łachman stary!

— Ale teraz co trzeba — no niechże pan zgadnie, Żeby wszystko już było modnie i paradnie?! Nie uchodzi bielizna pod kaftanem zgrzebna, Panu cienka koszula z befkami potrzebna. Skoczył krawiec do kufra, wyjął coś i wlecze: — Niech pan tę prasowaną koszulę oblecze! Walek bięrze i patrzy: — Tać nie wiele warta, Bo proszę jegomości, na plecach podarta. — Nikt nie widzi co w tyle, to maleńkie dziury, To tak w kufrze szkodniki pogryzły mi szczury, Za to też ją dostanie pan o wiele taniej. Walek wkłada strój nowy, więcej już nie gani. Patrzy w lustro szczęśliwy, że w pańskiej koszuli Będzie mógł się pokazać kochanej matuli.

Krawiec wielkie tymczasem mu pochwały kadzi, Befki kładzie na szyję i po piersiach gładzi: — W takiej pięknej koszuli i w tej sztywnej befce Będzie się pan podobał we wsi każdej dziewce, Szlachcic panu w tym stroju powie panie bracie! Ale czas też pomyśleć wreszcie o zapłacie: Pięć talarów za spodnie, piętnaście za zaczek: Z własną krzywdą sprzedaję, choć ja sam biedaczek. A koszulę, że towar już cokolwiek stary, Na wpół darmo odstąpię, daj pan dwa talary. Za kołnierzyk już nie chcę pieniędzmi zapłaty, Boć my dwaj zostaniemy i nadal kamraty; Da mi pan w prezencie ze dwie tłuste kury, Za to później w koszuli złatam wszystkie dziury.

Walek palec do gęby kładzie, głową kiwa, Namyśla się i worka z zanadrza dobywa. — Toć tam widać talarów dosyć spora garstka, Rzekł, szastając rękoma, majster od na-

parstka. — To też z roku łońskiego cały mój zarobek, — A jak wiecie, nie lekko pracuje parobek. Męczą człeka jak bydlę, potrącają kary, Niech jegomość spuści choć ze trzy talary... Adyć kury w prezencie przyślę jutro rano — Prosił Walek i majstra ujął za kolano. — Więc muszę mieć względy, co się pana tyczy, Niech pan z pełna dwadzieścia w ręce mi wyliczy!

Gdy już handel skończony, Walek się zabiera, Krawiec staje przed drzwiami, czapkę jemu zdziera: — Nie, tak pana nie mogę wypuścić na rynek, Z życzliwości dam panu mały upominek. W takiej czapce to wcale panu nie do twarzy, Panu trza kapelusza, niechno pan uważy! Taka czapka rogata, a sukmana kusa — Widzi pan, kapelusza trzeba dla dworusa! Podaje mu kapelusz płowy, cylindrowy: Jest cokolwiek zgnieciony, boć też już nie nowy: Zaraz ja

go żelazkiem panu wyprasuję... Widzi pan, jaki piękny? Ten panu daruję! Walek wsadził kapelusz do samego nosa, Podniósł głowę i w lustro spogląda z ukosa, Ledwie z wielkiej radości przed krawcem nie klęknie... — Hej, proszę jegomości, jak to mi w nim pięknie! Wszystko, jak gdyby ulał, jak na głowie luźno! Ale muszę iść do dom, bo już trochę późno. Szkoda, że trzeba dźwigać te tu stare szmaty, Panu Bogu oddaję! Czas wrócić do chaty.

2. Walek staje się Jasnym Panem.

Krawiec biegnie za Walkiem: — Proszę czekać, hola! Wie pan, jeszcze potrzeba panu parasola, Boć jak pan chodzi z kijem, na nic ta parada, Czasem pana by wzięli za jakiego dziada, A parasol i na deszcz i za kij się przyda, Rzecze krawiec i wiedzie

parobka do żyda.—Niechże kupiec pokaże tanie parasole, Jeden sobie wybierze to dworskie pocholę. Mrugnał majster na żyda chytremi oczami... Żydek szuka po kątach, — Już tu jeden mami! Walek bierze parasol, ogląda, rozpina, Potem z żydem o kupno targi rozpoczyna. Wreszcie płaci najniższą cenę — trzy talary, W tem spostrzega w pudełku modre okulary... Uśmiecha się i parę wyjmuje z pudełka: — Adyć to, proszę kupca, rychtyk takie szkiełka, Jak to nosi nasz nowy guwerner ze dwora, Co je gwoli mądrości dostał od doktora.

Krawiec daje żydkowi jakiś znak na migi, Przystępuje do Walka, robi przed nim dygi: — Toć u pana, jak widać, też nie sieczka w głowie, Jakie oko! Niech kupiec sam spojrzy i powie. U nas doktór mądrości nie mierzy na pręty, Tu pan Itzig wystawia te szklanne patenty. Niech pan jeno

szkiełkami nos swój okulbaczy, Co pana minę Icek wprzódy w nich zobaczy.

Walek patrzy na żyda, czy mu też pozwoli.... Można? — Można, i na nos wsadza szkła powoli. Gdy za uszy cieniutkie druciki zakłada, Krawiec coś tam po cichu żydowi powiada: — To taki *dummer Pollack*, niechno go pan chwali, To on nam się tak prędko z kramu nie oddali. Walek już okulary wsadził i się pyta, Czy i jemu pan Icek mądrość z oczu czyta. Jakby mocno zdziwiony, żyd wciąż głową rucha: *Wunder*!.. Nigdym nie widziol tak mądrego zucha! Gdyby najpierwszej rangi belfer od studenciech, Szkoda że nie mam większych mądrości patenciech. Ny, niech pan okulary z nosa nie zdejmuje, Lecz za patentowanie talar likwiduję! Walęk z wielką radością płaci, co żyd żąda I z cylindrem na bakier dalej się ogląda.

Dyrdą stąpa ostróżnie, bo ma spodnie ciasne... — Adyć proszę waspaństwa, jak tu wszystko jasne! Co tu widzę, ma farbę, jakte okulary... Jasnomodrą... na prawdę!... Czy to jakie czary? Nawet i pan jegomość w jasnym jest kolorze... Zkąd też tyle jasności naraz brać się może? Wtedy mu poważnemi krawiec rzecze słowy: — Anu, wszystka ta jasność świeci z pańskiej głowy I każdego od razu onej blask uderzy, Walek teraz Jasny Pan, każdy to uwierzy. — Tegom wej nie zmiarkowął, to mi się nie śniło, By mnie tyle honoru naraz oświeciło! Co też to się nie dzieje! Jasny Pan!.. Ha, ha, hu! Teraz wara mi z drogi każdy chłopski łachu! Kupiec, co to tam wisi na tej jasnej szafie Z temi wej' kutasami? — To tu, panie grafie? To jest ślafrok, co także noszą wielkie pany, Czy pan wolą ma kupić?.. Ciepły, watowany. — Inną razą...

wygląda, jak gdyby salopa, Bogać to tam przydatne dla prostego chłopa Czyli dła Jaśnie Pana. Znowu się obźiera: — A to długie co znaczy? — To?.. To jest klistera, Co konował kuruje na wzdęcie zwierzęta, Można też na dyngusie zlewać tem dziewczęta. Chce graf kupić? — Nie dzisiaj. — Więc czemu się pyta? — Bom to miał wej za wałek od mierzenia żyta.

Chwilkę jeszcze się kręcił — Jak to wszędzie cudnie! Ale trzeba się spieszyć, będzie już południe; Pięknie kiedy są grosze chodzić na jarmarki, Szkoda, że mi zostały już tylko dwie marki! Muszę się jeszcze zdzieblko posilić na drogę, Choćbym, chciał co i kupić, dzisiaj już nie mogę.

Żydek Walka nie puszczá: — Aleć proszę, proszę, Niechże graf jeszcze kupi te ładne bamboszé! — Co mi po tem, toć zaraz naszło by w nie gnoju.. Ale żydek Walkowi

nie daje spokoju: — Ny, to jednak graf kupi tę piękną maszkarę, Sprzedam ją, jako panu, za trojaczków parę; I na gębę nie trzeba skąpić panu groszy, Kiedy taki fajn *anzug* pan na siebie noszy.

Walek wziął na rozwagę one Icka słowa: Oczywiście potrzebna jemu gęba nowa, Bo tę starą słoneczne spiekły mu promienie, A to zdradza najbardziej chłopskie pochodnie; Już mu skóra na nosie linieje i złazi, A to pana każdego natychmiast odrazi.

W takim więc interesie do żyda nawraca, Chwycił w garście maszkarę ogląda, i maca; Nie może się nadziwić tej koślawej pezie, Robi próbę, czy aby też na gębę wlezie... Wlazła, chociaż na nosie trochę zawadzało; Żydek chwali, że Walek już pan gębą cała: — Mina wargi wydęte, nos zadarty w siodło, Już nie w chłopskie, jak pierwej, formowane modło: Jak to pięknie się świe-

cą te czerwone baki! A to strój taki tani, żądam trzy ośmaki; Nie przeceniam grafowi, by szedl handel gladko. Walek kontent i grosze liczy na stół chwatko. Żeć maszkara zawadza, nachyla się nisko, Patrzy zyzem, jak głodny bocian na ściernisko. Namyślił się trzy razy, 3 razy przeliczył, W końcu jednak o ósmak żydek go oćwiczył. Związał chłopak woryszek z resztą swego myta: — Panie kupiec: więc teraz jesteśma już kwita? — Niech graf przyjdzie drugi raz. — Zostań kupiec z Bogiem! Rzekł parobek i stanął w maszkarze za progiem.

Krawiec skoczył za Walkiem: — Niechno pan poczeka, Nikt tak w panu nie pozna dworskiego człowieka; W mieście chodzić nie wolno w dubeltowej twarzy, Na wsi to co innego, niechno pan uważy; Jeźli tego górnego pan nie zdejmie pyska, Nikt nie ujrzy, że z pańskich oczu jasność

błyska. Tak pouczał pan krawiec Walka nieboraczka, Zdjął mu z gęby maszkarę i schował do zaczka. — Tak! Już znów teraz widać jasność pańskich oczy, Niechno pan okulary lepiej na nos wtłoczy!

Walek rzecze: — Bóg zapłać! Prawda, widzę lepiej, Bo w tym pysku już własnych nie poznałem ślepi. Jać bo na wsi chowany, rosłem jakby dziki, Dotąd pojąć nie mogłem miejskiej polityki. Ojcam stracił za młodu — pokój jego duszy! Matka wciąż jeno mruczy i głowę mi suszy; Nie chce posłać do karczmy w święto ni w niedzielę, Mówi: — Ty jesteś głupszy, niż Maćkowe cielę. A jak człek na muzykę czasem się wykradnie, Nieraz szczepą po plecach wytłucze szkaradnie. Kiedy przyjdzie ochota zalecać się Rózi, Matka zaraz rozgania i miotłą wytuzi: Gada: — Taki przedwczesny ożenek nijaki, Wnet wa byśta oboje

poszli na żebraki. Albo, czybyś ty wiedział, co trzeba kobiecie? A toć rok już dwudziesty człowiek ma na grzbiecie. Na targ nigdy nie puszczą, na jarmark już wcale, Człowiek wciąż musi brodzić po tym wiejskim kale. Przy robocie ekonom wiecznie na mnie gdera, Aż się dycht człowiekowi na płakanie • zbiera. Nie! Nie będę ja marniał, żył w takim kłopocie! Otworzyli mi oczy chłopi przy robocie, Co to ich nauczyli na francuskiej wojnie, Jak to człowiek żyć może dobrze i spokojnie. Pójdę służyć do miasta, bom nie dudek lada, A jegomość co na to?... Nikt nie odpowiada.

Walek krawca nie widzi przez swe szklanne oczy, Wszystko, co go otacza, mgli mu się i mroczy. Ale jeszcze nie skończył całej swojej mowy. Dalej bredzi, co tylko przyjdzie mu do głowy; — Strój już teraz mam miejski. — Co za pan ten Walek!

Będą we wsi się dziwić chłopi od fornalek. Jak szykowny w tych szkiełkach i w tym kapeluszu, W tej koszuli i befkach aż do samych uszu, Z parasolem, w spodzienkach i w tym krótkim zaku!.. Matka padną na szyję: — Mój ty jedynaku! Nie wytłucze już więcej, ani powie ośle, Choć najdalej samego mnie na jarmark pośle. Jak to chwalić mnie będzie, jaka będzie rada! Czy nie prawda jegomość?... Nikt nie odpowiada.

Zastanowił się Walek. — Co też to do licha? Miałby odejść odemnie jegomość tak z cicha? Takie piękne mi dawal rady i rozkazy, Podziękować mu było za to tysiąc razy; Należała się jemu dzięków cała fora, Aleć nie ma go... nie ma... przepadł, jak kamfora! Wykręca się do koła: — Jednak gdzieś być musi! Chyli głowę ku ziemi, broda befki dusi I z po nad okularów posełał spojrzenia,

Jak gdy koziel nastawia rogi do bodzenia. Tego pojąć nie mogę! Co też to się stało? Jegomości nie widzę, chociaż patrzę biało. Boże, jakie to człowiek ciągle ma zgryzoty! Snać on miał co pilnego w domu do roboty, Albo może drugiego w nową modę stroi, Boć tu w długich sukmanach pełno dziś się roi; Jeźli taki kapelusz każdemu daruje, To przez swe miłosierdzie docna zbankrutuje.

Nagle z tyłu ktoś woła: — Z drogi, ty gawronie! Bo jak mi się nie namkniesz, rozdepcą cię konie. Jak cię skropię batogiem, to ci pójdzie w pięty, Albo jucha narwana, albo poderznięty! Walek jakby spętany przed wozem się tacza, Ręką głowę zastawia, zwolna z drogi zbacza. Nie miał biedak pewnego w okularach wzroku, Potknął się i w tem z bruku zjechał do rynsztoku. Zwalał sobie ubranie, zranił koniec brody: —

Czy to rzecz, tak człowieka wegnać w zgniłe smrody? Czym ja na to zasłużył, na wstyd taki srogi? Lamentował i raczkiem zbierał się na nogi.

Zgarnia błoto z koszuli, twarz ociera, uszy, Zaczka wcale nie czyści: — Toć to się wykruszy. Ręce otrę o hajńen jasny dom narożny, Więcej się nie obalę, będę już ostróżny... Jak nie łupnie zachwilę o narożnik głową! Ujrzał aż Jasną gorę z całą Częstochową. — Rety, jak mnie ktoś palnął, rychtyk jak kłonicą! Czyby to łeb mój sam się pobódł z kamienicą? Jam bo mu nie pozwolił, będzie to inaczej. Znam się na takich sztuczkach, wiem ja, co to znaczy. Muszą widzieć i domy, jak mi w oczach błyska. Więc chcą pewnie się przyjrzeć tej jasności z bliska. Trzeba się ich wystrzegać trzymać się z daleka. Mogą się przy schylaniu zwalić na człowieka.

3. Jak częstował Walek i jak jego częstowano.

Potem środkiem ulicy Walek dalej kroczy, Parasolem się wspiera i przez ciżbę tłoczy. Skręcił wreszcie do karczmy, kołacz zjadł i serek, Wtedy jeszcze miętówki żądał półkwaterek.

Kupczyk chwatko miętówkę toczy mu ze sądka, Walek chce ją już gębą posłać do żołądka, Ale w tem przecież widzi na swe oczy własne, Że nalane w kieliszku jest zupełnie jasne. — Niechże pana z tą wódką djabeł w mordę liźnie, Daj pan haptekarzowi pyskać w tej truciźnie! Ja nie piję, jak białą, nie wie pan? Do licha! Krzyczy Wałek i wódkę od siebie odpycha. — A czy nie jest to biała? Gada pan, jak we śnie; Pan sobie widać głowę zaprószył? Dość wcześnie! — Co? Czy mnie pan uważa za jakiego głupca? Toć to

jasną ma farbę, proszę pana kupca. — Niechże mnie pan da pokój i tyle nie bredzi, Jeno skoro nalane, przez gardło przecedzi.

Walek lubo się bojał jasnego koloru. W końcu spuścił w kieliszek koniuszek ozoru, Przyłożył go do nosa: — miotówką ci pachnie — Nagle głowę przechyla i duszkiem go machnie. A do prawdy! Co też to? Toć smakuje biało, Ale szkło wejno równak jasne pozostało. Toć i tu mam pojęcie; wezmę przykład z siebie: Moje szkiełka też jasne jako dach na niebie, A koszula wej biała, befka także biała, Tylko mi je ta brzydka pluta powałała, Ale to się wypierze — Piję pana zdrowie! — Ja dziękuję, — z uśmiechem kupczyk mu odpowie, Ale niech pan przepije do onej gosposi, Co na głowie tę chustkę staroświecką nosi. Pewnie to pan w sąsiedztwie ukradł gdzie

co komu, Bo wskazuje na pana palcem pokryjomu.

Walek patrzy po izbie przez szklaną zasłonę I spostrzega owczarza ze Zakrzewa żonę, Razem z Rózią, jej córką, które w kącie obie Dziwiły się tej kusej, dziwacznej osobie. Wtedy chłopak z kieliszkiem stanął tuż przed niemi, Zrobił ukłon i zniżył kapelusz ku ziemi. — Tośta i wy tu przyszły? Jakże mi się mata? Co tak na mnie patrzyta? czy to mnie nie znata? Toć ja Walek, jenom się dzisiaj ubrał znowa, Czy nie piękny ja chłopiec? Do was, owczarzowa! — Równak on!.. Wej prawdziwie!.. O rety, o rety! Toć istny komedyant! — szeptały kobiety.

Owczarzowa kieliszek odepchnęła dłonią: — Idźcież sobie z tą wódką! Nie prosiłam o nią. — Przecież nie pogardzicie, pijcie, gdy częstuję; Patrzcie, jak to ten nowy mundur

mnie pasuje! Jać się was nie powstydzę choć w tym nowym stroju, Posmakujcieżno tego słodkiego napoju! Owczarzowa od Walka odwróciła oczy: — Daj mi pokój, powiadam, ty kołtunie smoczy!

Walek wtedy powoli zbliżył się do Rózi: — Nadstaw gębę, przepiórko, dajże dziewczę buzi! Powiedź, czym nie szykowny, czym nie chłopak chwatki? Nie bój się, przepióreczko, nie ma mojej matki. Siadł przy dziewce i głowę schyli ku jej skroni, Rózia oczy odwraca i od niego stroni.

Walek dziewczę uchwycił leciuchno za ramię: — Boisz się, przepióreczko? Adyć spojrzyj na mnie! Musisz znać mnie po głosie, choćem w pańskim stroju; Wszak my sobie przyrzekli przedwczoraj przy doju, Że skoro na pozimku bociany przyletą, Ja będę twoim chłopem, ty moją kobietą.

Rózia z głową do ściany odwró-

cona siedzi I nie zważa, co chłopak jej do ucna bredzi. Walek widzi, że dziewce łza już z oka kapie, Więc by Rózię pocieszyć, ją za szyję łapie. Wtedy dziewczę czemprędzej na nogi się zrywa, Obie ręce zaciska i tak się odzywa: — Tfu! Jak mi się nie namkniesz, ty obcięty głąbie, To zobaczysz, jak cię tu wytrzaskam po trąbie! Surdut na nim, jak skórka wciągnięta na palu, Pójdziesz z dala odemnie, ty kusy drągalu! Teraz już cię znać nie chcę, ty Niemcze, na zawdy! Matka, w tem co on mówił, nie ma słowa prawdy!

Walek gębę rozdziawił, odskoczył dwa kroki: — Wejcież! — rzecze — Przepiórka dziś ma dzióbek sroki! Jak to pluje ze złości, jak to wej się perzy, Widać, że moim słowom trochę mało wierzy. Ale czekaj! Mam kołacz, ten to w jednej chwili, Sprawi, że się przepiórka do mnie znów przymili. Na kołacza, a pokaż znowu

twarz weselszą, Może teraz mnie poznasz, może będziesz śmielszą. Rózia Walka zmierzyła spojrzeniem niemiłem, Potem do kawalera zwróciła się tyłem. — Aha! Teraz mam dowód! Jestem przekonany, Że mnie Rózia na prawdę liczy między pany; Gdyby mnie jako Walka była rozpoznała, Juźcić byłaby kołacz chętnie odebrała. Nieraz, kiedy zawziętość na mnie ją opadła, Jednak kołacz przyjęła i go smacznie zjadła. Tak to Walek sam sobie Rózi gniew tłumaczy, Ustępuje i dalej miętówką się raczy.

Widzi panka jakiegoś, co tak jak on kusy, Przeciska się pomiędzy wiejskiemi wiarusy. Hano tego, to chętnie miałbym za kamrata, Boć to człowiek już nierad z byle kim się brata. Zastępuje mu drogę: — Jak się masz, braciszku? Widzisz, że mi samemu tęskno przy kieliszku. Napijema się razem, jeżeli pozwolisz.

Panek mruknął pod nosem: — *Lajder kun nich polisz!* — Łajdak? Co? To ja łajdak? Piękne powitanie! Lepiej, byś mnie powiedział z góry Jaśnie Panie; Czy to ja jaki łata, jaka podła dusza? Czy to ząaczka nie noszę, befek, kapelusza? Tyś sam łajdak, bo chociaż strój na tobie modny, Wspierasz się wej na pałce, niby żebrak głodny! — Fuknął Walek i włożył parasol pod pachę. Panek głośniej zamruczał: *Fersztaj nich dı szprahe!* Co i szprachem mnie zowiesz?. Tego już za wiele! Czyś ty widział, bym kiedyś żebrał przy kościele? Czekaj! Może pamiątki chce ci się z jarmarku — Rzekł i jął parasolem panka prać po karku. — *Dajwel!* — panek zawołał — boć to niespodzianie Przyszło mu od obcego to poczęstowanie. Potem wolno z namysłem dobył grubej broni, — Jak w łysinę Walkowi nagle nie zadzwoni! Z lewej, z prawej, to z gó-

ry, aż mu trzeszczą uszy... — Ta psia krew! — jęknął Walek — jeszcze mnie ogłuszy! Parasolem się kryje, broni własnej skóry, Panek dalej naciera, mocno rąbie z gory. Toć i Walek go palnie, gdy mu się nadarzy, Lecz parasol, to jeno muska go po twarzy. Nagle tamten się zmierza obiema rękoma, Bęc! i zgiął się parasol złamany, jak słoma. A parobek odebrał w banię, jak obuchem, Sam nic zrobić nie może instrumentem kruchem. Wjedno ostro naciera zawziętym atakiem, Jakby w ręku miał dzierżak, młócił jak bijakiem, Ale cepy płócienne mało wroga bolą, On zaś srogie zadaje ciosy grubą lolą, Młynkiem i na odlewkę Walka po łbie kropi. Aż się z tej bataliji wszyscy śmieją chłopi! Widzi Walek, że temu jednak nie da rady, Więc się zwraca powoli w tył do rajtyrady. W tem go panek pod gardło chwyta i wypycha, Walek już

się nie broni, bo ledwo oddycha. I wyleciał nieborak za drzwi w okamgnieniu, Upadł na łeb i mocno nos zbił na kamieniu. Srodze stęka i zwolna na nogi się prości... — A żeby go pioruny! Ten nie ma litości! Toć mi gnaty potłukła, ta kusa bestyja, Szkoda, żem ja przy sobie nie miał kawał kija! Byłby musiał się chłystek od razu obalić, Parasolem to jednak licho umiem walić, Ale ja się nauczę! Wtedy czekaj, bratku, Zobaczymy, kto będzie stękał na ostatku! Dobrze, że aby szkiełek nie strzaskał mi pałą, Tak przynajmniej się zdaje, że mam gębę całą. Ale w nos musiał lunąć szelma apuchtina, Boć wej kicha czerwoną i puchnąć zaczyna. Tak po ciężkiej przygodzie biedny Walek rzecze, Nos rękawem ociera i dalej się wlecze.

Zagramolił się wreszcie między straganiki, Gdzie, jak mu powiadali, mają być pierniki. Widzi na długim

stole niby z torfu cegły; Maca, czy aby suche — boć w tem to on biegły. Opierają się wszelkiej przy zginaniu sile, Dobrze wyschły, a twarde jak dębowe dyle. Ale te tu plaskate, chropowate kręgi Snać zmajstrował kołodziej w rzemiośle nie tęgi; Że to z brzozy, toć widać z tej białawej kóry. Ale czem to je upstrzył w dole i u góry? — Proszę panny, po czemu w mieście tego kopa? Na wsi tego furami u każdego chłopa. — Pięć trojaków za piernik, jeźli pan nie mani, Kupi pan całą kopę, sprzedam trochę taniej. — Pięć trojaków za jeden? — To są chyba śmiechy! Za to ja bym tu pannie dwa przydźwigał miechy. U nas tego na bagnie leżą całe kupy, Mogę brać, ile zechcę, darmo do chałupy. — Ale to też nie z bagna! — Czy pan wzrok ma kurzy? Przecież słodki to piernik do jedzenia służy. — Niechże panna mnie w o-

czy nie naciera mydła, Torfem nawet nie pasą rogatego bydła. Ale co to za piękny święty tu na rogu? Poco wisi nad torfem na obrazę Bogu? Mogłaby go darować panna do kościoła, Pewnie to wizerunek świętego anioła! Boć skrzydłami zastawia jakby niebios bramy; Taki obraz by trzeba wsadzić w złote ramy, Albo wziąć na chorągiew przy wielkim ołtarzu, Jeśli tylko ten święty w polskim kalendarzu. Jaką to ma sukienkę jasnego koloru? Ale zkąd też on rodem? — Toć tu stoi: Z Toru—nia. — Jak też mu na imię? — Stoi także: Piernik... Więc bez ślabizowania, to święty Kopernik. Tego znam, kiedym łoni był w Toruniu z matką, To na rynku okrągłą płoszył żydów klatką. Rzekłszy Walek, kapelusz uchylił przed świętym I paciórek odmówił z kolanem ugniętem. Panna myśląc, że jaki ubogi podróżny, Łamie kawał piernika, daje mu

jałmużny. Ale Walek nie bierze, co mu daje dama... — Nie chcę — mówi — i darmo, możesz zeźreć sama!

4. Przygoda z niedźwiedziem, panem burmistrzem i łykami.

Dalej idzie nasz Walek i rękoma macha, W tem jakoby zobaczył ze Zakrzewa Wacha, Co go posłał na jarmark ekonom po osły; Poznał go po kołtunach, które w kark mu wrosły. Widać, że już nie trzeźwy; kożuch wdział na ręby I łańcuszek żelazny zachaczył za zęby; Za łańcuszek wej trzyma jakiś łyk ubogi I gdy Wach się potoczy, prostuje na nogi, Bębni jemu nad uchem, śpiewa: dana! di! di! Musi z Wachem pijanym mieć nie mało biedy. Jedną łapą się trzyma Wach długiego drąga, Drugą, mrucząc radośnie, do Walka wyciąga. — Aby jeden mnie poznał! Jakże mnie to cieszy! Krzyknie Walek i drucha pocałować spie-

szy. Uścisnęli się obaj: — Mój kochany Wachu! Ale nie sap tak mocno, nie rób że mi strachu!.. Jeno piersi mi nie zgnieć, nie bądźże okrutny! Rety! Ugryzł mnie w ramię! To diabeł wierutny!.. Czyś oszalał? Daj pokój! Toć mi w krzyżach trzeszczy!.. Matko Boska! Ratujcie — głośno Walek wrzeszczy.

Jedzie wóz i wołają: — Z drogi, bo przejedziem! Wejno, to jakiś głupiec pasa się z niedźwiedziem! Furman mysia kłonicą, cygan drągiem pierze, Ale precz dusi Walka to kudłate zwierzę. Byłby niedźwiedź Walkowi łapą strzaskał czaszkę, Lecz podobno już długo cierpiał na ograżkę, Więc już nie był przy takiej, jak zawadna, sile, Trochę jeno podrapał Walka zaczek w tyle I raz jeden go czulę pocałował w ramię; Po tem tylko malutkie pozostanie znamię. Parę mu tylko nagniótł żeber w prawym boku; Toć to wnet

się naprawi, może już po roku.

Gdy się dobrze zapoznał z tym niedźwiedzim żartem, Walek zmykać zaczyna z mundurem podartem... Pędzi, myśląc, że mocarz goni go kudłaty, A co krok niżej zaczka białe świecą łaty. Kto mu się nie namyka, piersią go obala, Ludzie jak od upioru trzymają się z dala. Naraz buch! i burmistrza powalił na bruku, Że aż ziemia zadrżała od strasznego huku.

A to burmistrz był gruby, jako zwykle bywa, Sam wypijał już z rana spory sądek piwa I pół wieprza na drugie spożywał śniadanie, Taki kiedy upadnie nie tak prędko wstanie.

Był we fraku, przybrawszy urzędową minę, Bo pan prezes miał stanąć w mieście za godzinę, Więc go spieszył powitać jaknajuniżeniej Mową pełną pochlebnych i pochwalnych pieni. *Sapienti sat* szeptał w drodze ustawicznie, Po łacinie chciał bowiem

skończyć retorycznie. Ale tak haniebnego doznawszy upadku, Snać zapomniał, co rzec chciał na samym ostatku. Sapał leżąc na bruku, jakby w kuźni miechy, Że wszystka słoma spadła z jego własnej strzechy Razem z kozą skubiącą trawę na tym dachu, Co niemałego w mieście narobiło strachu. Trąbić „gore!“ zaczęli z ratuszowej wieży, Zaraz każdy, kto może, na ratunek bieży; Jeden sikwę ma w ręku, drugi bosak trzyma, Trzeci z długą drabiną, czwarty z kubłem dyma.

— Zkąd ten alarm wołają? Gdzie się pali w mieście? Burmistrz stęka na bruku: — Mnie ratunek nieście! Moją bowiem osobę najmądrzejszą w grodzie, Która pieczą o ludziach ma jak i o trzodzie, Dzierży nocne stróżostwo jak urząd poboczny Umie pisać i robić obrachunek roczny, Której majestatyczna władza i potęga... Tę wywrócić śmiał jakiś ślepy

niedołęga. Nie! tak skończyć nie chciałem! Co to? Bodajże cię! Wszak to dzisiaj przyjechał pan prezes, jak wiecie, Więc spieszyłem uczoną mu powiedzieć mowę, Cóż, gdy koniec zgubiłem, utraciłem głowę... Aha!... chciałem powiedzieć — by o moim losie I orderku u góry... znowu urwało się!... Już przypomniałem sobie... Więc tak jemu powiem: — Gdyż ponieważ ten tego, ex re... ten... albowiem Zacną mają osobę najmądrzejszą w grodzie, Która pieczą o ludziach ma jak i o trzodzie, Dzierży nocne stróżostwo jak urząd poboczny, Umie pisać i robić obrachunek roczny, Której majestatyczna władza i potęga... Jakoś próżno... ten tego... po odznakę sięga... Och! Toć znów zakończenie najlepsze mi ginie; Pastor kazał mi dodać coś tam po łacinie, Niby miało to znaczyć, że resztę odgadnie, A ten koniec mi zginął... tutaj!... to szkaradnie! Szu-

kać obywatele! Tu się gdzieś zapodział! Zgubić piękny ten koniec, któż by był się spodział!...

Takie burmistrz wyrzeka rozpaczliwe słowa, Aż się nad nim lituje wszystka straż ogniowa: Zaraz z bruku wokoło sprzątają kamienie, Aby znaleźć burmistrza drogie zakończenie. Pan dobrodziej na ziemi wciąż wydaje jęki, Nie chce przyjąć podanej ku dźwignięciu ręki, Póki mu się nie znajdzie stracona łacina, Tylko dalej się swojej zguby dopomina.

Już głęboko dokoła swego pryncypała Skrzętna rzesza pożarna ziemię rozkopała; Próżno psują ludziska haki i łopaty, Nigdzie znaleźć nie mogą opłakanej straty. Chcą nareszcie przeszukać burmistrza kieszenie, Może w której ów koniec znikł przez zapomnienie; Ale gdy jednę połę uniósł ktoś od fraka, Zaraz się pokazała niespodzianka taka, Że pod

spodem rozpróte były pantalony; Pękły znać, gdy raptownie został obalony. By więc znikła tak wielkiej sromoty przyczyna, Prędko poły ów człowiek ostrą igłą spina. Ale przy tej robocie ręka mu zadrgała... Zakłuł igłą głęboko do tłustego ciała. Burmistrz jak też pręciutko na nogi nie wstanie! Sięga ręką, gdzie boli: — Co robisz gałganie?! Czy to na mnie w krawieckiem ćwiczysz się rzemiośle, Albo kpisz z mej osoby? Tłumacz mi się, ośle! Wtedy krawiec — a był to ów mądry faktorek, Co talarami Walka napchał sobie worek — Zaczął błagać burmistrza bijąc mu pokłony, Aby raczył go sądzić z łagodniejszej strony: — Prawda, — rzecze — że był to przypadek przeklęty, Ale teraz przynajmniej ma pan zad zapięty. — To, to... już mam... zapięty, zapięty zad! ślicznie! Już będę mógł zakończyć mowę retoryczdie... Zapięty zad! Ach

majstrze, coś znalazł tę zgubę, Choć na ciężką me ciało wystawiłeś próbę, Będę miał cię w swej łasce i przebaczę winę, Boś mi zgubę odnalazł i wrócił łacinę. Zapięty zad! Tem pastor kązał skończyć ładnie, Resztę co do orderu prezes już odgadnie...

W tem spostrzega pan burmistrz.. o reta! o reta! Jako pędzi ku niemu przezesa kareta. Już i prezes z uśmiechem z powozu wysiada... Cóż tu czynić?.. Czemprędzej witać go wypada. Pokłonił się pan burmistrz, chce powiedzieć mowę, Ale cóż, kiedy pierwszą zabaczył połowę! Więc się łupnął w łysinę pięścią z całej mocy I tylko coś od końca palnął jakby z procy: Witaj, Panie Prezesie!... Jakżeż dalej powiem!... Gdyż ponieważ... ten... tego... ex re... ten albowiem Zacną moją osobę najmądrzejszą w grodzie, Która pieczą o ludziach ma jak i trzodzie,

Dzierży nocne stróżostwo jak urząd poboczny, Umie pisać i robić obrachunek roczny, Której majestatyczna władza i potęga... Tu powalił na bruku jakiś niedołęga... Nie, inaczej!... odznaki jakoś nie ośięga. Zapięty zad... To znaczy: Resztę pan odgadnie! Z czasem, choć nie pragniemy, przypiąć nam wypadnie.

Przezes miast odpowiedzi zrobił kwaśną minę, Snać źle pjął burmistrza wymowną łacinę, Bo po cichu się spytał kogoś z pośród tłumu, Czy pan burmistrz... ten... tego... jest z pełna rozumu? — Jak też można posądzać! — rzecze zapytany — Toć to człowiek rozsądny i edukowany, Mało znajdzie się ludzi z tak wielkim talentem, A co powie, to prawda, jakby w piśmie świętem; Rozum jego światlejszy, powiadam, od słońca, Chyba pan z jego mowy nie zrozumiał końca, Którego po niemiecku objaśnienie takie: Że pan

coś ma *zugesteckt hinten unterm Fracke.*

Prezes się zaczerwienił jak grzebień indyka: — To więc moją mi słabość ten śmiałek wytyka! Wie już, że ja choruję na hemeroidy, Że zapinanie tyle mnie nabawia biedy? Ha, to szpieg niebezpieczny, musiał mnie podpatrzeć! Tej sromoty nie można w żaden sposób zatrzeć! Rzekł pan prezes i spiesznie wskoczył do karety, Zaraz z miasta wyjechał. Był w gniewie niestety!

Mocno wtedy pan burmistrz stracił na humorze, Patrzy, jak pędzi prezes, i pojąć nie może, Czemby w ważnej tej chwili pokpił całą sprawę, Że mu tak niełaskawą prezes dał odprawę. Na to się cały tydzień uczył powitania, By pan prezes odjechał tak bez pożegnania!.. Aż się mu z oburzenia włos na głowie jeży, Bucha złością i sapi jak sowa na wieży, Mocno pięści zaciska i nogami tupa,

Że aż się obaliła pobliska chałupa.

Naraz krzyknie: — To dla was, niezdarne istoty, Spadło ma mnie niewinnie tyle dziś sromoty! Tego wstydu tu jeszcze było mi potrzeba... Niech was śmiga cholerą od ziemi do nieba! Który tu z was największy łotr i winowajca?! Schwycić mi tego hycla, niechaj wisi zdrajca!

Wtedy się poruszyła wszystka straż pożarna, Jeden pyta drugiego: — Gdzie ta dusza czarna? Któren z nas łotr największy? — Wszystko nadaremnie, Każdy myśli — Tóć jeszcze więksi są odemnie. Wreszcie jeden drugiego chwyta za ożygle I wszczynają potyczkę wcale nie na figle. Ten bosakiem za szyję chwyta przeciwnika, A znów tamten mu w oczy z długiej szprycy sika. Ow swojemu wrogowi kubłem po łbie dzwoni, A on drugiem ogromnym mózgownicy broni.

W onej bitwie nie było znaków,

ni chorągwi, Bez komendy, kto dopadł, brał wodę ze stągwi. Zamiast dymu się woda kłębiła do góry I bez deszczu walczący przemokli do skóry. Choć nikt prochu nie wąchał, nie pękały strzały, Jednak mnogie ofiary na ziemi stękały.

Kto broń dobrą posiada, temu też się szczęści, Ale czasem rozstrzyga i przewaga pięści.

Walek, co dał początek tej okropnej wojnie, Dotąd się przypatrywał walczącym spokojnie; Myślał, że to zabawką łyczkowie zajęci, Lecz powoli też poznał, co to tu się święci. Więc od pobojowiska cofa się pomału, Ale w tem go ktoś dostrzegł z rokoszan oddziału. Jak też z wodnego sztućca w gębę mu nie trzaśnie! — A to co? — A la Boga! — głośno Walek wrzaśnie. Parska, jak kot łakomy, kiedy się udławił. Ale zaraz mu strzelec celnie w tył poprawił. Trzeciej salwy już wtedy po-

bity nie czeka, Jeno, co starczą nogi, za bramę ucieka.

5. Siła złego na jednego.

Zmokły, pokaleczony, z zaczkiem zdartym w szmaty, Wlókł się po pijanemu Walek nasz do chaty. Jeszcze nieraz się w drodze z ciężkim spokał losem. Parę razy głęboko ziemię zorał nosem, Częstę z lewej na prawą zataczał zygzaczki, Niby kiedy z jęczmienia zaganiają kaczki. Czasem nieco w plugawym odpocząwszy dole, Wylazł z błota jak diabeł wykąpany w smole. Troszyneczkę wytrzeźwiał po onej kąpieli, Stąpa wiele już prościej, śmieje się, weseli.

Widać już las zakrzewski, coraz żwawej kroczy, W tem go nagle uderza wielka jasność w oczy, Jak gdy gwiazdy na niebie w ciemną noc zaświecą, Albo gdy się zaiskrzy niebo błyskawicą. Upadł w znak

w okamnieniu, bo już żywnie wierzył, Że to klin piorunowy w głowę go uderzył.

Myślał, że już się zbliża ostatnia godzina, Ale była to inna jasności przyczyna: Doznał tego upadku i okropnej doli U rosnącej przy drodze wysokiej topoli, W którą przez swego wzroku nieszczęsne zamglenie, Łbem uderzył i z tego jasne miał widzenie.

Byłby długo tak leżał na przemokłej drodze, Bo wstać nie mógł na nogi potłuczony srodze, Ale nieba za chwilę pomoc mu przyniosły — Przybył Samarytanin dwa wiodący osły; Był to Wach, co z jarmarku stadło długouche Pędził do wsi, a jako człek miał serce kruche, Myśląc, że to nieboszczyk, co zmarł bez spowiedzi, Pacierz nad nim odmawia i rzewne zły cedzi. — Co to z wami się stało? — nieboszczyka pyta. Snać wnetrzności spaliła we was

okowita, Bo do prawdy spirytus od was czuć z daleka. Oj, wieczne potępienie waszą duszę czeka, Bo gdy stanie pijana za niebieskim progiem, Święty Pioter do piekła spędzi ją batogiem!

Walek onych lamentów pewnie już nie słyszy, Ale jeszcze nie umarł, boć chłop trochę dyszy, By więc prędzej biedaka przywrócić do życia, Chce mu Wach holenderki podać do zażycia. Maca się po kieszeniach... zgubił tabakierkę; Szkoda, że w cudze ręce pójdzie w poniewierkę! Ale znał jeszcze inne do cucenia proszki, O których się dowiedział od mądrej kumoszki.

Ujrzał wierzbę przy drodze z wypróchniałą norą, Sięgnął ręką i prochna garść wydobył sporą, Potem do zemdlonego przystąpił leciuchno I ze szczypty Walkowi w nos wdmuchuje próchno. Trup już głową poruszył, bo go w nosie łechce, Lecz prze-

mówić chudzina nie może, czy nie chce. Musiał myśleć, że to mu w nos wleciała mucha, Bo zamierzywszy ręką w oczy łupnął drucha. — A toć ożył! — Wach rzecze, słodką strojąc minę, I palcami Walkowi w nos pcha medycynę. Przy tem płuca nadyma, dech mu w gębę zieje, Jak to baba gąsięciu tchnieniem nosek grzeje, Gdy przejechała przez nie duża gnoju fura, Przecież tem ogrzewaniem wcale nic nie wskóra.

Byłby może się z Walkiem biedził Wach do nocy, Gdyby nie był zkądinąd odebrał pomocy; Skuteczniejsze, niż proszki i mądre leczenie, Było znierpliwionych osłów zatrąbienie. Gdy tak oba płaczliwie rozpoczęły ryki, Zaraz Walek na nogi porwał się jak dziki, Myślał snać, że go anioł na sąd boży woła, Błędnie okiem zamdlonem zatacza dokoła, Błoto z zaczka otrząsa i oczy przeciera, Zwolna też przytomności

troszeczkę nabiera: — Co? Czym to ja oszlał, albo!· czym się upił? Dyć mnie piorun siarcisty tak mocno w łeb złupił, Że myślałem, jak żywo, iż więcej nie wstanę, Ale tu na łysinie muszę mieć gdzie ranę! Wej doprawdy! Ot urosł guz jakby dwie pięści, Już to mnie się biednemu wcale dziś nie szczęści! Wiem przynajmniej, jak to się od szlagu umiera; Nie życzyłbym nikomu... Żeby go cholera!

Wach się mocno dziwuje, że ten człowiek kusy Mowę rychtyk ma taką, jak wszystkie wiarusy. Gdy się bliżej mu przyjrzał, poznał pana brata: — Walku, jak ty wyglądasz?.. Oj, wart jesteś bata! Ładnieś to się przyodział, jak jaka poczwara! Pięknie to się ucieszy twoja matka stara. Adyć oną do płaczu taki strój pobudzi... Czy się Boga nie boisz, czy nie wstydzisz ludzi?! Po jakiekoż to diabła ta szklanna kulbaka?

Czy to trzeba ci było niemieckiego zaka? Prędzejbym się był śmierci spodział, niż w tym stanie Ujrzeć ze wsi parobka, o boże skaranie! Przeżegna się trzy razy, kto ciebie zobaczy, Szoruj do dom i zaraz oblecz się inaczej!

Walek mruczy pod nosem coś tam o jasnościach, Nowych modach i mądrych miejskich jegomościach; Już się rusza pomału, ale trudna rada, Nogi cierpną, powtornie w znak na ziemię pada.

W sercu Wacha już znowu na litość się zbiera, Więc go na kosmatego pakuje ogiera; Każe mu się oborącz trzymać oślej grzywy A nie ściskać go mocno, bo to zwierz fałszywy. Walek osła za kudły trzyma z całej siły, Ale rumak szarawy jakoś bardzo zgniły. Stąpa jak od niechcenia garbi się i dąsa, Odpoczywa co chwila, często łbem potrząsa. Raz już trochę do góry zdradny



uniósł śladek... Byłby jeźdzca znów spotkał nieszczęsny przypadek, Lecz Wach batem ogiera nauczył karności, Wtedy już się wierzchowiec poddał konieczności; Choć go trochę grzbiet chudy od ciężaru boli, Postępuje potulnie, jak Tatar w niewoli.

Kiedy jadąc z jarmarku ta parada ośla Już przywlokła się między zakrzewskie zarośla, Spotkał ją egzekutor, co za szkolne kary Zbierał po wsiach od chłopów pieniężne ofiary. Ten widokiem niezwykłym zaskoczony w lesie, Myślał, że to mu piekło srogą zemstę niesie, Aż ze strachu nieborak odszedł od rozumu I niedługo we Świeciu umarł w głupim domu.

Szedł też lasem ku miastu stary organista, Ten we Walku na ośle widział Antychrysta. Odtąd mu z przelęknienia ubyła pamięci, Że już nie zna porządku, w którym idą święci. Czasem, gdy po trzech królach obchodzi kolęda, Śpiewa jak na pogrzebie: *In die tremenda*.

Potem, gdy już za sobą mieli gęste drzewa, Zbliżał się ktoś na koniu drogą od Zakrzewa; Był to dworski ekonom, jechał na zasadzkę, Gdzie w gęstwinie ostróżne sarny mają

schadzkę. Ten nie stchórzył. Gdy stanął koło karawany, Zrazu myślał, że to są żebrzące cygany, Ale kiedy rajtrowi przypatrzył się dłużej, Poznał, że to jest Walek, co przy koniach służy! Zaraz mu też serdeczne palnie powitanie: — Gdzieś to tak się wystroił, ty ośli ułanie?! Niechno ujrzę cię jutro w tym pięknym ubiorze, To ci go tym harapem wygładzę na skórze. Ni do diabła podobne, ani do człowieka, Nie wiem, jakich to czasów jeszcze świat doczeka! Dzisiaj ze wsi wygnałem te cudze nygusy, Co po wojnie francuskiej strój przywdziały kusy, A tu znowu mi foryś szemlowski szwabieje. Jeżli pójdzie, tak dalej, człowiek oszaleje! Poczkaj, już mi nie będziesz więcej siodłał konia, Wachu, jutro do osłów zabierzesz nicponia! A gdy słuchać nie będzie, niech idzie na wędry, Może go za swojego przyjmą gdzie olędry.

Walek na ekonoma spogląda grymaśnie: — Jeno proszę mnie teraz tytułować Jaśnie! Ma pan adukacyją a nie wie, jak to się Trzeba z takim obchodzić, co ma szkła na nosie.

Musiał śmiać się ekonom: — A no, Jaśnie przecie, Trzeba Panu też jasność naznaczyć na grzbiecie — I harapem go skropił w plecy raz i drugi, Że się Walek na ziemię powalił jak długi.

Wtedy Wach litościwy obiema rękoma Długie buty obłapił pana ekonoma: — Proszę na rany boskie Wielmożnego Pana, Niechże Pan mu daruje, boć jucha pijana. — Idźcież sobie, kiedy tak szelma skuł się w mieście, To mu trza na ten przykład wsypać batów dwieście, Ruski rok popamięta, więcej się nie spije — Rzekł ekonom i Walka precz harapem bije.

Choć parobek na bicie dość był wytrzymały, Już po drugiej dziesiąt-

ce poczuł ból niemały, Widzi, że pan ekonom wcale nie żartuje, Naraz też się już całkiem w głowie trzeźwym czuje, Wstaje więc i czemprędzej drogą do wsi zmyka, Niby juniec, gdy w polu brzęk usłyszy gzika. Więcej się nie obalił, nawet nie potoczył, Blisko wsi znaną ścieżką po za płoty zboczył, Bo już zaczął się lękać ludzkiego spotkania, Dosyć miał on na dzisiaj różnego witania.

6. Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło.

Matka właśnie wieczerzą stawiała w kominek, Gdy się we drzwiach ukazał wystrojony synek. Kobiecina ze strachu stanęła jak wryta: — W imię Ojca i Syna! Kto to? Zkądże? — pyta.

Walek, gdy sobie szkiełka poprawił na nosie, Rzecze: —Dyć muszą matuś poznać mnie po głosie! Patrzcie, ja-

kim strój kupił nowiuteńki cały. Tylko mi go te łyczki w mieście poszarpały, Ale to się zeszyje... No, co matuś powie? A widziecie ten piękny kapelusz na głowie? Teraz już mi nie trzeba doglądywać koni, Każdy chłop mi się pięknie do ziemi ukłoni. A wej z oczu przez szkiełka jak mi świeci jaśnie!... Matka, jak się nie zmierzy, jak go w pysk nie trzaśnie! — Tak to żeś się wysztrychnął, ty kusy łajdaku! Śmiesz się matce pokazać w obrzydliwym zaku? Takeś to całoroczną zmarnował robotę!... A ty łotrze, wciąż jeno z ciebie mam zgryzotę! Wynoś mi się z chałupy, ty szwabski wędrusie. Och ja matka nieszczęsna! O Chryste Jezusie! Po skończonych lamentach porwała drapaka I z chałupy wygnała Walka nieboraka.

Zostawiwszy matulę w takim srogim gniewie, Musiał Walek się prze-

spać z prosiętami w chlewie. Taki respekt miał odtąd przed matki drapakiem, Że już nigdy nie tęsknił za niemieckim zakiem.

Przecież na coś się przydał strój po nowej modzie: Matka z niego zrobiła straszydło w ogrodzie, Motowidło słomianem obwiązała cielskiem, Na to zaczek włożyła z celindrem angielskim, Głowę z wiechcia przybrała w maszkarę pyzatą, Okulary do nosa przywiązała szmatą, Parasolik z pod pachy ostro strzela w górę A spodzienki wciągnięte na starą rozworę.

Tak się tego straszydła zlękły wszystkie ptaki, Że się zaraz w dalekie rozleciały krzaki.

Walek z wstydem na ogród spoglądał niekiedy. Ale jeszcze nie koniec wszystkiej jego biedy.

Gdy raz sobie spokojnie sieczką osły karmi, Naraz przed nim stawają z miasta trzej żandarmi. Mocno

struchlał nieborak, choć jego sumienia Wcale nie obciążały prawa przekroczenia. Jeden żandarm wlepiwszy w Walka bystre oczy: — Teraz mamy cię, — rzecze — ty hultaju smoczy, Coś to w mieście wywołał te okropne bunty, Że do dziś zalegają gruzy wszystkie kąty. Tyś to winien, że tyle ponieśliśmy straty I straż wszystka pożarna ma strzaskane gnaty! Nasz pan burmistrz, co order dostać miał w tym roku, Z twojej zginął przyczyny, uduszony w tłoku! Już cię w gończych szukają listach dwa tygodnie, Będziesz wisiał za twoje niesłychane zbrodnie! Rzekłszy kazał kolegom wydobyć powrozy I związanego Walka prowadzić do kozy.

Już nie byliby więcej żywcem go puścili, Gdy w tem nagle ratunek przyszedł mu w tej chwili. Oto matka Walkowa, gdy prowadzą syna, Dowiedziawszy się, jaka aresztu przy-

czyna, Sprawę oną obraca zaraz w śmieszną stronę, Tak wisusa swojego biorąc pod obronę: — Cóż to z nim wyrabiącie, panowie żandary! Adyć on takiej srogiej nie zasłużył kary. Ten buntownik, którego zamordować chcecie, Pokutuje za zbrodnie już na tamtym świecie, Ja bo sama zabiłam to szkaradne bydlę I bestyją rozpięłam tam na motowidle. Śród ogrodu wej wisi grzeszne jego ciało, Przekonajcie się, że tak na prawdę się stało.

Zaraz tedy żandarmi weszli do ogrodu Obzierając straszydło z tyłu jak i z przodu. Rozwinęli przed sobą różne dokumenty I badali rysopis z ściganego zdjęty: — Tak opisał pan Itzig łotra rzeczywiście, Strój ten sam, jak podany w każdym gończym liście: Ma kapelusz na głowie celindrowy, stary. Nosi na kupnej gębie modre okulary, Ma koszulę z befkami, parasolik w ręku, Zaczek jemu

dodaje niemieckiego wdzięku, Pantalony obcisłe w długie wetknął buty... *Stimmt*, — krzyknąli żandarmi — do ostatniej nuty!

Starszy z nich aż z radości na pięcie się wierci, Zaraz pisze straszkowi poświadczenie śmierci. Potem duży butelans dobywa z kieszeni I z radości popija, aż mu wzrok się mieni I w mózgownicy rozum wywraca pomału, Dostał, już nie pierwszy raz pijackiego szału Czyli, jak mówi doktór, *tremens delirium*: Zdaje mu się, że w koło głodne wilki wyją — Więc poczyna za nimi całym szczekać pyskiem, Najprzód cienko a potem nagle basem niskim. Aż się zbiegło dokoła psów wyjących kilka, Bo za prawdę myślały, że głos słyszą wilka.

Potem szybko rękoma dokoła wywija, Bo ogromna mu staje przed oczyma żmija, Ale rąk się nie boi ten napastnik diabli, Więc pan żandarm w

rozpaczy bierze się do szabli, Zamaszyście w powierzu tnie krzyżową sztukę, Krzycząc: — Ja się rozprawię *mit dem Dajwelsszpuke.* Szach, mach! w wielkim naciera na żmiję pospiechu, Że matczysko Walkowe pękało od śmiechu.

Nagle ręce opuszcza i wciąż głową rucha, Bo mu jakby na nosie czarna siadła mucha, Z czerwonemi oczyma, z ogromnemi skrzydły — Brzęczy różnemi tony owad ten obrzydły. — A ty co chcesz odemnie, patrz własnego sznabla, Daj mi pokój i żywo zmykaj fort do diabła. Krzyknął i grubą pięścią machnąwszy od ucha, W nos się palnął, że strugą wypłynęła jucha.

Widząc, jak pijanica całkiem rozum traci, Prędko doń przyskoczyli dwaj jego kamraci. Jeden z Walka czemprędzej zdjął dręczące stryczki I z nich panu starszemu zrobił ramieniczki. Próżno szarpie się rycerz,

nie folgują pęta, A tu zewsząd piekielne godzą nań zwierzęta... — Ciężko mnie pan Bóg karze za gorzałki picie! — Jęczał, gdy mu płókali mordę przy korycie I gdy zbrojni kamraci po takowych hecach Prowadzili go ze wsi z rękoma na plecach.

Nie wiem, czy się żegnali z Walkiem transporterzy, Ale na tem też ludziom wiele nie zależy: Co tu jednak rzecz ważna i warta wspomnienia, To, że gdy matce jego rzekli: — do widzenia! — Niskie mądrej kobiecie złożyli ukłony, Mówiąc coś o nagrodzie dla niej przeznaczonej.

W tydzień po onej srogiej wizycie żandarów Odebrała do prawdy srebrnych sto talarów, Razem z wielką pochwałą za swoją odwagę, Że pomściła burmistrza i miasta zniewagę.

Skoro po wsi gruchnęła ta nowina rzadka, Że wór pełen pieniędzy ma

Walkowa matka, Zaraz wszystkie komoszki zewsząd się zbiegają I swe córy Walkowi na ożenek rają. Lecz on dawno już obrał owczarzowej córkę, Której chętnie przebaczył jarmarczną ankórkę.

Kiedy na zaręczynach ucałował lubą, Rózia nań spoglądała z radością i chlubą, Bo się pysznie przyodział w strój zupełnie nowy I po chłopsku ubrany był od stóp do głowy. — Tak to mi się podobasz, — szczebioce doń cicho — W mieście to wyglądałeś jakby jakie licho, Widzisz, jak ci się we wsi wszyscy teraz cieszą. Oblecz zaczek, to jeszcze łyki cię powieszą!

Niezadługo małżeńskim ślubem się złączyli I szczęśliwie przy matce żyją do tej chwili.

Ale ogród do dzisiaj mija ród skrzydlaty, Choć ze straszka już nie ma ani jednej szmaty. Zaczek bowiem raz zwędził pewien krawiec nagi I

w nim do nadwiślańskiej zawędrował Pragi, Gdzie polecił drugiemu to straszydło chłopie, Co w nim długo po wschodniej jeździł Europie.

I tak zaczek się wsławił po dalekim świecie, Reszta się zmarnowała i zgarnięta w śmiecie.

KONIEC.